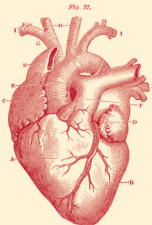


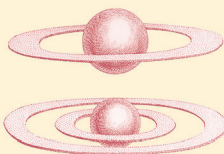


C A S P A R H E N D E R S O N

N O W A



M A P A

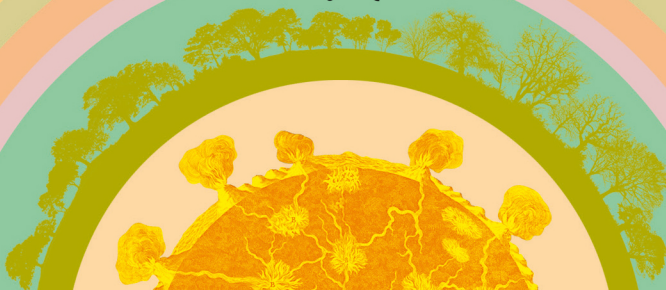


C U D Ó W



M A R G I N E S Y

P O D R Ó Ż
W P O S Z U K I W A N I U
R Z E C Z Y
N I E P O J Ę T Y C H





Wstęp

Świętować chciałbym. Tylko co?

Friedrich Hölderlin

Skąd się bierze w nas ta radość skrzydlata?

Elizabeth Bishop

Kiedy któregoś ranka wczesną wiosną zszedłem do kuchni z moją małą córeczką, zobaczyłem na suficie błyszczącą plamę światła. W pierwszej chwili nie bardzo wiedziałem, skąd się tam wziął ten migotliwy, rozedrgany kształt, który co jakiś czas ciemniał pod wpływem padających na niego cieni. Przyglądając się temu dziwnemu zjawisku, powoli zacząłem je analizować. Słońce, przez wiele długich dni skryte dotychczas za chmurami, przebiło się przez ciężką zasłonę i wzniosło przy tym na tyle wysoko, by oświetlić okna ustawionego doń frontem budynku. odbite w szybach światło, przesączone przez rozkołysane gałęzie drzewa, padło na kolejną powierzchnię, która, dzięki ustawieniu pod takim, a nie innym kątem, posłała poprzecinane cieniami konarów promienie wprost na taflę szkła naszego kuchennego okna, a stamtąd na sufit.

Zasami splot niezwykłych lub ekstremalnych okoliczności potrzebny jest, by z tego, co zwyczajne, wydobyć rys cudowności. W przypadku poety Ko Una plama światła rozmiaru znaczka pocztowego na jednej ze ścian jego celi w koreańskim więzieniu wojskowym, w którym go przetrzymywano, wystarczyła, by rozniecić w nim na nowo nadzieję i zachwyty nad światem, mimo iż drżał o swoje życie. W mojej sytuacji nie było nic ekstremalnego. Ja nie bałem się o swoje życie. Nie znajdowałem się też w żadnych zapierających dech w piersi czy egzotycznych okolicznościach przyrody. To był normalny wtorek. Może czwartek. A może jeszcze jakiś inny dzień. Już nie pamiętam. W każdym razie ani czas, ani miejsce, ani – jak się mogło na pierwszy rzut oka wydawać – samo zjawisko nie miały w sobie nic nadzwyczajnego. W końcu kto z nas, przyglądając się upstrzonej migoczącymi cętkami ścianie, nie zastanawiał się nad źródłem owego fenomenu? Kto, zwłaszcza w naszym klimacie, nie czuł radości na widok słońca, które pojawia się na niebie po wielu pochmurnych dniach?

A mimo to poczucie zachwytu nad światem – wrażenie pełni świadomości – było czymś absolutnie wyjątkowym. Ponieważ trochę interesuję się takimi rzeczami, wiedziałem, że za powstanie smugi światła i grę światłocieni, tak delikatną, a jednocześnie tak dynamiczną, odpowiadały biliony fotonów (cząsteczek światła) płynących z niezwyklej termonuklearnej eksplozji, do której doszło miliony kilometrów stąd. Co więcej, zdawałem sobie sprawę również z tego, że wspomniane fotony stanowiły jedynie maleńki odsetek pośród bezmiaru cząsteczek w każdej sekundzie spływających bezgłośnie na naszą planetę z prędkością przekraczającą granice ludzkiej wyobraźni. Można zatem powiedzieć, że cytując poetę Ko Una, wpatrywałem się w „niewidzialny ruch wszechrzeczy”.

Dzięki obecności mojej córki ten moment stał się dla mnie wyjątkowo radosnym doświadczeniem. Miała wtedy pięć lat i plama światła na suficie zapewne nie zrobiła na niej większego wrażenia niż całe mnóstwo innych zjawisk i rzeczy, z jakimi przeciętny pięciolatek styka się każdego dnia, od listonosza począwszy, na paluszkach rybnych skończywszy. Ale tamtego ranka zauważyła, że jej tata się śmieje, i doszedłszy do wniosku, że najwyraźniej stało się coś zabawnego, również postanowiła się roześmiać. Miłość unosiła się w powietrzu i czułem się z tym cudownie, ale to nie koniec tej historii.

Chwila zadumy nad zdumieniem

Przeżycie w kuchni skłoniło mnie do rozważań nad istotą zdumienia światem: nad tym, co je w nas wywołuje i w jaki sposób je przeżywamy, jak bardzo ulotnym potrafi być zjawiskiem i z jaką łatwością można je ostudzić i uśmiercić, lecz także jak może pomóc nam nadawać sens otaczającej rzeczywistości oraz stać się jednym z podstawowych komponentów dobrze przeżytego życia. Wynikiem tych refleksji jest *Nowa mapa cudów*.

W tej książce odwołuję się do filozofii, historii, sztuki, religii, nauki oraz technologii w poszukiwaniu pełniejszego zrozumienia zarówno cudów wprawiających nas w zachwyt i zdumienie, jak i samej natury owego stanu umysłu. Nie dysponuję w tej dziedzinie jakąś wyjątkową wiedzą fachową, a moje kwalifikacje sprowadzają się do uporczywej ciekawości. Jednakże zgadzam się z Samuelem Johnsonem, że

Dalsze poszukiwania
warto zacząć od
dwóch pozycji: *Wonders and the Order
of Nature: 1150–1750*
Katharine Park
i Lorraine Daston
oraz *Wiek cudów*
Richarda Holmesa.

W języku polskim
wonder nie ma jed-
nego odpowiednika.
Może być zarówno
rzeczownikiem,
„cud”, „dziw”, „zdu-
mienie”, „zachwyt”,
jak i czasownikiem,
„dziwić się”, „zastana-
wiać”, „zachwycać”.
Stąd tłumaczone jest
w różnych wariantach
(przytłum.).

W opowiadaniu *Undr*
Jorge Luis Borges
czyni z „cudu” słowo
pierwsze, pierwotne
(„ur-word”) – które
poprzedza i zastępuje
wszystkie inne sło-
wa. Z kolei zdaniem
Ralph Waldo Emer-
sona „choć geneza
większości naszych
słów odeszła w za-
pomnienie, każde
z nich miało w swej
początkowej fazie
rys geniuszu i każde
weszło do obiegu,
gdyż przez moment
symbolizowało świat,
zarówno dla pierw-
szego mówcy, jak
i jego słuchacza”.

„jeśli wpraw każda przeszkodę umyślimy sobie pokonać, wówczas żadna próba nie zostanie przez nas podjęta”. I choć pisząc, pominąłem wiele rzeczy (a ściśle powiedziawszy, prawie wszystko), starałem się, by mój tekst pozostał zakotwiczony w rzeczywistości – analizowane w książce cuda, w mniejszym lub większym stopniu, objawiają się w pozornie zwyczajnych, prozaicznych momentach naszego życia, takich jak choćby opisana przeze mnie sytuacja kuchenna. Wszystkie je łączy zjawisko emergencji.

O tym ostatnim będę jeszcze pisał w niniejszym wstępie, lecz zanim to nastąpi, chciałbym skupić się przez moment na znaczeniu samego słowa *wonder*, na jego etymologii, a także roli w nie lada przedsięwzięciu, którym jest próba zrozumienia świata i bycia w świecie.

W tomie *The Oxford Companion to Consciousness* nie znajdziemy hasła *wonder*, dowiemy się za to tego i owego na temat wina, co powinno dać nam do myślenia. Zwykły słownik również okazuje się niewiele bardziej pomocny. Według typowej definicji cud to coś, co wywołuje zdziwienie albo głęboki podziw, natomiast zdumienie jest stanem, w którym znajduje się osoba kontemplująca ów cud. Angielskie słowo *astonishment* (zdumienie, zdziwienie) pochodzi od łacińskiego określenia oznaczającego „rażony piorunem”, natomiast *admiration* (podziw, zachwyt) oraz *marvel* (cud, rzecz niepojęta) wywodzą się od terminów, których zakres semantyczny sprowadza się do czasownika „patrzeć”. (Słowo *miracle* [cud], pochodzące od łacińskiego *mirari* – „zastanawiać się, być zdumionym i zachwyconym” – być może ma swój początek w języku praindoeuropejskim, a konkretnie w słowie oznaczającym „uśmiechać się” lub „śmiać się”). Samo *wonder* wywodzi się od staroangielskiego *wundor*, jednak etymologia tego słowa (podobnie jak jego germańskiego pierwowzoru *Wundran*) pozostaje niejasna. Henry David Thoreau dopatrywał się związku ze słowem *wander* (błąkać się, wędrować), natomiast inni wskazywali raczej na *wound* (rana, zranic), niemniej tego typu teorie mają charakter czysto spekulatywny.

Fragment definicji poniżej zawiera nieco szersze wyjaśnienie. Wspominając doświadczenie obserwacji jesionu w promieniach zachodzącego słońca, filozof Martyn Evans opisuje zdumienie jako

stan niezwykle intensywnego, nieodpartego wręcz skupienia uwagi na czymś, co natychmiast uznajemy za istot-

ne – coś, czego pojawienie się angażuje naszą wyobraźnię, zanim nastąpi etap zrozumienia, a co jednakże z czasem najprawdopodobniej będziemy chcieli pełniej pojąć.

Moim zdaniem uchwycił ważny aspekt procesu, który często zachodzi w naszych głowach, gdy przepelniają nas zachwyty i zdumienie. A przynajmniej w mojej głowie. Jak ujmuje to Evans, rozpoznajemy albo intuicyjnie przeczuwamy coś fundamentalnego i pięknego zarazem (być może jakąś ukrytą strukturę lub ład), przez co stajemy się dużo bardziej wyczuleni na otaczającą nas rzeczywistość.

Gdzie dokładnie zaczyna się zdumienie światem? Czy człowiek doświadcza go od zarania dziejów ludzkości? A może wszystko zaczęło się jeszcze wcześniej? Kilka lat temu w Parku Narodowym Gombe Stream w Tanzanii tuż przed zapadnięciem zmierzchu zaobserwowano, jak dwa szympansy – każdy oddzielnie – wspięły się na szczyt skały. Na samej górze przywitały się ze sobą, wzięły za ręce, siadły obok siebie i wspólnie obejrzały zachód słońca, długo wpatrując się w znikające za horyzontem promienie. Jak powinniśmy zinterpretować takie doniesienia? Prymatolożka Jane Goodall raczej nie ma w tym względzie wątpliwości. W pobliżu jednej skały widziała szympansy, które przez jakiś czas wpatrywały się w wodospad, po czym zaczęły wykonywać dziwaczny, ekspresyjny taniec.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że u źródeł [takiego zachowania] leży ten sam podziw i to samo zdumienie, które odczuwa człowiek. Mózg szympansov jest bardzo podobny do naszego. Ich emocje są zbliżone do naszych, a czasem nawet identyczne... To samo dotyczy niewiarogodnych wręcz zdolności intelektualnych, które do tej pory uznawaliśmy za wyłącznie ludzki atrybut. Dlaczego więc nie miałyby mieć również... swego rodzaju życia duchowego, rozumianego jako odczuwanie głębokiego zachwyty wszystkim tym, co istnieje poza nami... Moim zdaniem szympansy są równie uduchowionymi istotami co ludzie, tyle tylko, że nie posiadają aparatu analitycznego, nie potrafią o tym mówić... Wszystko tkwi zamknięte w ich wnętrzu i jedynym środkiem wyrazu, którym dysponują, jest ten ich niesamowity rytmiczny taniec...

Jeśli Goodall i inni badacze mają rację, można pokusić się o stwierdzenie, że przodek człowieka i szympansa, który

„Wyobraźnia [jest] narzędziem pozwalającym nadać sens światu nieskończonych możliwości poprzez ich redukcję” (Michael Lewis).

„Niczym nieuzasadnione lingwistyczne bariery rozbijają jedność, z jaką objawia się nam natura. Zarówno małpy, jak i ludzie nie mieli wystarczająco czasu, by, niezależnie od siebie, rozwinąć uderzająco podobne zachowania” (Frans de Waal).

żył na Ziemi ponad pięć milionów lat temu, również odczuwał zdumienie.

W okresie od stu do pięćdziesięciu tysięcy lat temu współczesny anatomicznie człowiek zaczął wytwarzać skomplikowane narzędzia oraz przemierzać długie dystanse w celu wymiany handlowej. By móc to robić, potrzebował języka. Możemy zatem zakładać, że skoro ówczesni ludzie komunikowali się słowami, potrafili również opowiadać historie. Najpóźniej czterdzieści tysięcy lat temu pojawiły się rzeźby oraz przedstawiające zwierzęta czy inne istoty malowidła naskalne, które uznajemy dziś za wielkie dzieła sztuki. Nikt oczywiście nie kwestionuje zdolności ówczesnych twórców, ale patrząc na pozostawione przez nich dziedzictwo, co właściwie możemy powiedzieć o ich emocjach czy wierzeniach? Weźmy na przykład liczącą ponad trzydzieści tysięcy lat figurkę ptaka wodnego, prawdopodobnie kormorana, znaną w grocie na południu Niemiec. Rzeźbie wielkości kciuka autor nadał idealnie opływowy kształt, dzięki czemu sprawia ona wrażenie ptaka w chwili pikowania. Zdaniem Jill Cook, piastującej stanowisko starszego kustosa British Museum, być może mamy do czynienia z „duchowym symbolem łączącym światy z najwyższego, środkowego i najniższego kręgu kosmosu... Możliwe jednak, że patrzymy tylko na skromną porcję mięsa i worek przydatnych piór”. Przyjrzyjmy się wobec tego innym artefaktom: wizerunkom ludzi oraz na poły ludzkich istot, od kunsztownych aktów kobiecych po „czarownika” – pół jelenia, pół człowieka – z grotu Chauveta we Francji oraz człowieka lwa z jaskini Hohlenstein-Stadel w Niemczech. Autorzy owych malowideł nie tylko obserwowali i kopiowali rzeczywistość z podziwianą dziś przez tak wielu wyjątkową precyzją, oni także tworzyli. Rodzi się zatem pytanie, czy ich wrażliwość naprawdę jest aż tak odległa od wrażliwości artystów pokroju Paula Klee, który w 1920 roku pisał, że „sztuka nie kopiuje widzialnego świata; ona czyni go widzialnym”. Czy wśród emocji i stanów, jakich doświadczali, nie mogli znaleźć się zdumienie i zachwyt?

„Wygięcie karku zwierzęcia, ustawienie jego pyska czy też energia towarzysząca napięciu mięśni żądu zostały odtworzone [na malowidłach w grocie Chauveta] w porywie przy jednoczesnym zachowaniu pełnej kontroli. Podobne wrażenie możemy odnieść, obcując z dziełami Fra Filipa Lippiego, Velázqueza i Brąncuśkiego” (John Berger).

Około dziesięciu tysięcy lat temu wraz z początkiem rozwoju rolnictwa w Anatolii (tereny dzisiejszej południowo-wschodniej Turcji) swój rozkwit przeżywała społeczność, której przedstawiciele posiadli umiejętność wznoszenia ogromnych kamiennych budowli. Na górskim zboczu, w neolitycznej świątyni Göbekli Tepe odkryto wysokie



Odciski dłoni są motywem powszechnie występującym w sztuce paleolitu i stanowią prawdopodobnie najstarszy uniwersalny symbol postaci ludzkiej. Powyższe dłonie pochodzą z prowincji Santa Cruz w Argentynie i liczą sobie od trzynastu do dziewięciu tysięcy lat.

kamienne słupy ozdobione piktogramami, które prawdopodobnie miały charakter świętych symboli, oraz reliefami przedstawiającymi różne stworzenia. Nieopodal Göbekli Tepe, w Nevalı Çori – nadrzecznej prehistorycznej osadzie, gdzie przy okazji budowy wielkiej tamy przez kilka lat prowadzono wykopaliska, aż do zalania terenów na początku lat dziewięćdziesiątych – znajdował się amfiteatr otoczony gigantycznymi skalnymi posągami. Na jednym z nich widać węża sunącego po głowie mężczyzny. Z kolei inna rzeźba przedstawia drapieżnego ptaka, który ląduje na obejmujących się bliźniętach. W ogromnych megalitach w kształcie litery T wyrzeźbiono podłużne, pozbawione twarzy głowy i ludzkie ramiona. Kiedy widzowie siedzieli na ławkach pod ścianami budowli, te gigantyczne postaci groźnie nad nimi górowały. Czy ci, którzy patrzyli na nie, czuli zdumienie, zachwyt, strach, a może jeszcze coś innego? Mało prawdopodobne, byśmy kiedykolwiek wyszli w tej kwestii poza obszar spekulacji, jednak przywołanie kontekstu rytualnego i religijnego wydaje się całkiem słuszne: wiemy, że dziś podobne miejsca często wywołują w ludziach głęboko emocjonalne stany, jak nabożna cześć, zachwyt i zdumienie.

Zdumienie, jak pisał w 1999 roku naukowiec Philip Fisher, „pojawia się na półmetku drogi wiodącej do wyjaśnienia poza granicami tego, co zwyczajne, ocierając się o irracjonalne lub nierozwiązywalne”. Innymi słowy, jest to zarówno dziejowa, jak i jednostkowa swoista linia styku „pomiędzy tym, co jest nam tak dobrze znane, że przechodzimy nad tym do porządku dziennego, a tym, co unosi się na oceanie prawdy zbyt daleko, byśmy potrafili o tym mówić, jeśli w ogóle uda nam się to dostrzec”. Stąd prosty wniosek – który zresztą w ogóle nie powinien nikogo dziwić – że ów stan umysłu ma ścisły związek z umiłowaniem mądrości i wiedzy. Już bowiem dla Platona i nawet Arystotelesa właśnie zdumienie i zachwyt, inaczej *thaumazein*, stanowiły źródło filozofii. Platon uważał, iż „zdziwienie to początek filozofii”. Podobną myśl wyraził Arystoteles: „zdziwienie jest tą przyczyną, dla której niegdyś, jak to zresztą miało miejsce i później, zaczęli ludzie filozofować”.

W wielu tradycjach stan, który mieszkańcy współczesnych, uprzemysłowionych państw uznają za zdumienie światem i zachwyt nad nim, zajmuje istotne miejsce, aczkolwiek warto zaznaczyć, iż często ma on nieco odmienny charakter. Bo choć w nich owa wrażliwość wcale nie musi oznaczać wrogiego stosunku do głodu wiedzy, z reguły nie wywołuje aż takiego nienasycenia i nerwowości, jak ma to miejsce w przypadku naszych społeczeństw. Na przykład ludzi, których określamy mianem „animistów”, łączy coś, co antropolog Tim Ingold nazywa „sposobem egzystencji objawiającym się pełnią istnienia i otwartością na wiecznie rodzący się świat”. Dla nich rzeczywistość stanowi niewyczerpane źródło „zdumienia, ale nie zaskoczenia”. Z kolei zgodnie z filozofią jogi zdziwienie odczuwane w chwili uświadomienia sobie własnej ignorancji na temat świata może prowadzić do wyzwolenia. W twórczości takich klasycznych poetów chińskich jak Li Po i Tu Fu moment skupienia na otaczających nas cudach nie pociąga za sobą gorączkowej pogoni za faktami; stanowi raczej punkt wyjścia do refleksji wynikającej ze zdumienia i podziwu (choć może również wywołać uczucia melancholii i alienacji). Natomiast w Europie dwudziestowieczny filozof Martin Heidegger przeciwstawia instrumentalną postawę przedstawicieli cywilizacji przemysłowej, zgodnie z którą wszystko wokół nas, co nie jest nami, automatycznie staje się zasobem do skonsumowania, czemuś, co definiował jako stan autentycznego zdumienia.

W rozumieniu Heideggera zdumienie (czyli *Erstaunen*, które łączył z *Verhaltenheit*, czyli powściągliwością) odsłania istotę ludzi i rzeczy, powoduje, że pragniemy ochronić piękno i złożoność otaczającego nas świata. Moim zdaniem to całkiem pociągająca koncepcja, która może przysłużyć się współcześnie stosownej etyce (ale nie być jej sednem). Jednak wcale nie trzeba aż tak dalece podążać za Heideggerem – zwłaszcza w kierunku podjętych przez niego katastrofalnych decyzji politycznych – by zrobić użytek z rozróżnienia, którego dokonał pomiędzy prawdziwym zdumieniem a zbliżonymi doń, lecz nie tożsamymi z nim, stanami umysłu.

Zacznijmy od zdziwienia oraz pełnego szacunku podziwu/lęku (pierwotnie nazwanymi *Staunen* i *Bestaunen*). Obydwa te pojęcia są szczególnie obecne w myśli przednowoczesnej i religijnej, zrodzonej w świecie pełnym tajemnic, gdzie jeden Bóg lub liczni bogowie budzili grozę. Dwa wyraziste przykłady – obydwie te historie zostały spisane po raz pierwszy prawdopodobnie w IV wieku p.n.e. – pochodzą z *Bhagawadgity* i Starego Testamentu. W rozdziale XI świętej księgi hinduizmu Kryszna obdarza Arjunę boskim wzrokiem i objawia mu się w kosmicznej formie. Przed cudem jego majestatu, okazalszym niż blask tysiąca słońc, niebo, Ziemia i cały nieskończony wszechświat drżą zdjęte lękiem. Z kolei we fragmencie Księgi Hioba wyznaczonym wersami 38–41 Jahwe przemawia z wichru do swego wyznawcy słowami: „Gdzieżeś był, gdy zakładałem ziemię? [...] ku uciesze porannych gwiazd, ku radości wszystkich synów Bożych? Kto bramą zamknął morze, gdy wyszło z łona wzburzone [...]?” (Hiob oczywiście nie ma na to odpowiedzi). Podobny trop możemy znaleźć w Księdze Psalmów, gdzie szczególne miejsce zajmuje pojęcie *yir’ah* – podziw, lęk i nabożna cześć odczuwane przez tych, którzy doświadczyli znaków i cudów obecności Bożej na Ziemi – przedstawiane jako początek mądrości.

Zdziwienie i pełen szacunku podziw stanowiły również atrybuty wzniosłej, romantycznej wrażliwości, która rozwinęła się w osiemnasto- i dziewiętnastowiecznej Europie. Jednak w tym nowym świecie owe emocje nabrały nieco innego charakteru. Podszyty lękiem podziw wywołany widokiem takich wielkich dzieł natury jak majestatyczna góra czy olbrzymi wodospad był doświadczeniem tyleż (jeśli nie bardziej) estetycznym, co religijnym. Owa koncepcja znalazła wyraz we wpływowym dziele Edmunda Burke’a

Po pierwszym teście broni atomowej o kryptonimie Trinity fizyk Robert Oppenheimer wypowiedział słynne zdanie pochodzące z *Bhagawadgity*: „Teraz stałem się Śmiercią, niszczycielem światów”. Jednak bardziej precyzyjne tłumaczenie tego cytatu powinno brzmieć: „Jestem wszechpotężnym Czasem, który niszczy wszystko”. Mimo tego najważniejszym przesłaniem, jakie niesie święta księga hinduizmu, jest radość.

„Niech cała ziemia boi się Pana / i niech się go lękają wszyscy mieszkańcy świata” (Psalm 33,8; Biblia Tysiąclecia).

Dociekania filozoficzne o pochodzeniu naszych idei wzniosłości i piękna z 1756 roku. Filozof opisuje w nim wzniosłość jako „podszyty pewną dozą lęku” stan zdumienia, w którym „wszelka [myśl] pozostaje zawieszona”. Jednocześnie, jak podkreśla Burke, w obliczu wzniosłości mimo zagrożenia odczuwamy radość. Fakt, że ogromny wodospad może nas pochłonąć, w pewnym sensie stanowi o jego uroku, gdyż skonfrontowani z niebezpieczeństwem mamy szansę zapamiętać, przynajmniej do jakiegoś stopnia, nad strachem, co z kolei sprawia, że w pełni świadomie przeżywamy naszą egzystencję.

Poczucie wzniosłości różni się jednak od reakcji, jaką wywołuje w nas zazwyczaj kontakt z czymś osobliwym. Kluczowym czynnikiem w przypadku tego stanu (Heidegger nazywa go *Verwunderung*) jest nowość. Przedmiot wprawiający nas w zadziwienie może być różny. Czasem jest to kwestia zwykłego poczucia obcości, wrażenia, że mamy do czynienia z czymś dziwnym i nieznanym – przypomnijmy sobie scenę z *Burzy*, w której Trynkulo po raz pierwszy widzi Kalibana i zaczyna się zastanawiać, jak by go tu przewieźć z powrotem do Anglii, gdzie mógłby go pokazywać za pieniądze. Czasem może być to wyczyn wymagający nadzwyczajnych umiejętności lub odwagi, jak na przykład zonglowanie piłą łańcuchową, czasem coś szokującego lub dziwacznego, co w odczuciu wielu osób zbliża się do granicy groteski albo już dawno ją przekroczyło, jak choćby człowiek słoń czy chora na mikrocefalię postać z filmu *Dziwolągi* w reżyserii Toda Browninga z 1932 roku, a czasem, w dobie internetu, obraz przedstawiający ofiarę choroby zwanej płód arlekin czy też prosię z wyrostkiem na czole w kształcie penisa. Zadziwić nas może także coś niedorzecznego, a jednocześnie rozbijającego, jak choćby jedna z moich ulubionych ciekawostek: „ten małeńki hipcio został oddzielony od reszty rodziny przez tsunami i zaprzyjaźnił się ze stoczyletnim żółwiem lądowym”. Jednakże, niezależnie od przedmiotu naszego chwilowego zaintrygowania, żadna z tych osobliwości nie jest w stanie na dłużej przykuć naszej uwagi, gdyż zawsze trawi nas od wewnątrz głód nowości i rzadko kiedy czujemy potrzebę dogłębnego wyjaśnienia czy odkrywania sensu.

Od fascynacji i pragnienia podążania za tym, co nowe, zgoła odmiennym stanem jest szczególnie rodzaj chłodnego podziwu (czyli, zgodnie z kategoryzacją Heideggera,

„[W Anglii] nie dadzą oni miedziaka, by wspomóc chromego żebraka, lecz wyłożą dziesięć, by ujrzeć martwego Indianina” (*Burza*, przeł. Maciej Słomczyński).

Bewunderung). Razem z nim uaktywnia się intelekt, podczas gdy osoba przeżywająca zachowuje pewien emocjonalny dystans względem przedmiotu swojej admiracji. Taka forma zdumienia jest być może najbliższa koncepcji Platona i Arystotelesa. Obydwaj uważali, że zdziwienie daje początek filozofii, lecz nie stanowi jej celu, bowiem główne zadanie rozważań filozoficznych polega na robieniu użytku z rozumu, aby udoskonalać ludzką kondycję. Podobny pogląd znajdziemy u Kartezjusza, wielkiego francuskiego matematyka i filozofa. W swojej rozprawie z 1649 roku opisuje podziw (*l'admiration*) jako pierwszą z *namiętności* – czysto mentalną, której nie towarzyszą ani przyspieszony puls, ani kołatanie serca. Według siedemnastowiecznego myśliciela „podziw jest nagłym zaskoczeniem duszy, które skłania ją do uważnego rozpatrzenia przedmiotów wydających się jej rzadkimi i nadzwyczajnymi”. Powinniśmy zatem traktować ów stan jako wysoce pożądany, gdyż dzięki niemu możemy skupić się na przedmiotach, jakimi rzeczywiście są, nie zaś ze względu na to, czym są dla nas, co w konsekwencji zachęca nas do przyjęcia naukowego modelu myślenia. A kiedy już zakiełkuje pragnienie zdobywania zaawansowanej wiedzy, dowodzi dalej Kartezjusz, dalsze odczuwanie podziwu staje się dla nas zbędne. W takim ujęciu podziw odgrywa czysto instrumentalną rolę, a co za tym idzie – nie powinien trwać dłużej, niż to potrzebne. Rozumiany w ten sposób, ogólnie rzecz ujmując, stanowi źródło inspiracji dla rewolucji naukowej, wobec której Heidegger odnosił się z tak dużą dozą nieufności. (W bardziej optymistycznej wersji, proponowanej przez Stevena Johnsona w książce *Wonderland* z 2017 roku, zachwyt nowością oraz dążenie do przyjemności, w połączeniu z przeprowadzoną na chłodno analizą, nierzadko stawały się siłą napędową postępu technologicznego oraz społecznego, przynoszącego liczne korzyści i prowadzącego do wielkich przełomów. Programowalne komputery wywodzą się od samogrających instrumentów muzycznych; demokracja rodzi się w tawernach i kawiarniach, gdzie wszyscy ludzie spotykają się jako równi).

Wedle schematu Kartezjusza pierwotne namiętności, obok podziwu, to miłość, nienawiść, pożądanie, radość i smutek.

Narodziny nauki

Docieklivość, której rozkwit nastąpił wraz z początkiem epoki nowożytnej, stanowiła źródło głębokiej zmiany,

jaka dokonała się w myśleniu Europejczyków o rzeczach i zjawiskach wywołujących zdumienie. Historyk David Wootton ilustruje charakter tej zmiany, porównując dwa warianty wykształconego Anglika: wersję z czasów, zanim nauka funkcjonująca jako filozofia przyrody zaczęła odgrywać istotną rolę w kulturze jego ojczyzny, z wersją z późniejszego okresu. W 1600 roku, dekadę przed odkryciami dokonanymi przez Galileusza za pomocą teleskopu, które skłoniły Johna Donne'a do stwierdzenia: „nowa filozofia wszystko podaje w wątpliwość”, wyedukowany Anglik wierzy, że czarownice i czarnoksiężnicy istnieją naprawdę i że te władające magią istoty potrafią przywoływać sztormy zatapiające statki. Wierzy, że myszy powstają samoistnie w stertach słomy. Wierzy w jednorożce, choć widział tylko róg. Wierzy, że istnieje olej, który uleczy ranę zadaną sztyletem, jeśli jego ostrze zostało nim natarte. Że w obecności mordercy trup zacznie krwawić. Wierzy, że po kształcie, kolorze i fakturze rośliny można rozpoznać jej właściwości lecznicze. Że metal pospolity da się zamienić w złoto. Że tęcza to znak od Boga, zaś kometa zwiastuje nadciągające nieszczęście. Wierzy w astrologię i jest święcie przekonany, że – choć minęło już niemal sześćdziesiąt lat, odkąd Mikołaj Kopernik opublikował dzieło o całkowicie odmiennym stanie rzeczy – to Słońce obraca się wokół Ziemi. Wierzy, że Arystoteles jest największym filozofem, a trzech starożytni Rzymianie: Pliniusz Starszy, Galen i Klaudiusz Ptolemeusz to największe autorytety w dziedzinie filozofii przyrody, medycyny i astronomii.

Mija przeszło sto lat. Mamy lata trzydzieste XVIII wieku. Nasz światły Anglik obserwuje otaczającą go rzeczywistość za pomocą teleskopu i mikroskopu. Ma zegar wahadłowy, barometr (i wie, że na końcu rurki znajduje się próżnia). Nie zna nikogo wśród swoich wykształconych, obytych w świecie kompanów, kto wierzy w magię, czarownice, alchemię czy astrologię. Zdaje sobie sprawę, że jednorożec to stworzenie mityczne. Nie wierzy, że z kształtu czy koloru rośliny można odczytać jej potencjalne właściwości lecznicze. Nie wierzy w samoródtwo istot na tyle dużych, by zobaczyć je gołym okiem. Nie wierzy ani w uzdrowicielskie moce mikstur wcieranych w broń, ani w krwawienie trupa w obecności mordercy. Wie, że tęcza to efekt załamania światła, że Ziemia krąży wokół Słońca i że komety nie mają żadnego wpływu na naszą ziemską egzystencję. Wie, że serce to pompa, i być może widział nawet, jak działa

silnik parowy. Jest przekonany, że za sprawą filozofii przyrody świat ulegnie przeobrażeniu, zaś przedstawiciele nowożytności już dawno wyprzedzili starożytnych, i to pod każdym względem.

Ten nowy sposób myślenia – który Wootton nazywa „nowym rodzajem zaangażowania w rzeczywistość odbieraną zmysłami” – miał ogromny wpływ na kontakt człowieka z naturą, wobec której zyskiwał coraz większą władzę. Dysponował coraz szerszym spektrum wyboru, co z kolei prowadziło do redukcji poziomu lęku w życiu codziennym. Taka postawa, w niemal niezmienionym kształcie, przetrwała do dziś, a u niektórych przybiera formę dość wyważoną, by nie powiedzieć beznamiętną. Za przykład mogą posłużyć nam słowa dwudziestowiecznego fizyka Richarda Feynmana: „Ludzie pytają mnie «Chcesz odkryć uniwersalne prawo fizyki?». Moja odpowiedź brzmi «nie». Ja po prostu chcę się dowiedzieć więcej o świecie. Jeśli w trakcie moich poszukiwań okaże się, że owszem, istnieje jakies jedno nadrzędne prawo, które wyjaśnia wszystko, nie mam nic przeciwko. Takie odkrycie byłoby bardzo przyjemne. Jeśli natomiast okaże się, że sytuacja przypomina raczej cebulę z milionami warstw, a my poczujemy, że mamy już serdecznie dość ich odkrywania, cóż, trzeba się będzie po prostu z tym pogodzić. [...] Moje zamiłowanie do nauki bierze się wyłącznie z chęci dogłębszego poznania świata. To wszystko”.

Mimo iż Feynman mówi o swoich badaniach z powściągliwością, odkrycia naukowe mogą być źródłem ogromnej radości, zarówno dla samego odkrywcy, jak i dla tych, którzy idą w jego ślady. Weźmy na przykład teorię względności Einsteina, sformułowaną przy użyciu metody przez samego fizyka określanej mianem „gry kombinacyjnej”, polegającej na zestawieniu dwóch dotychczas zupełnie niepowiązanych ze sobą idei. A co, jeśli – zastanawiał się Einstein – grawitacja wcale nie jest jakąś tajemniczą siłą oddziałującą na obiekty z odległości, tylko raczej czymś w rodzaju pola elektromagnetycznego, i sama jest przestrzenią? Współczesny fizyk Carlo Rovelli opisuje emocje, jakie towarzyszyły mu, kiedy jako student zaczął rozumieć naturę przełomowego odkrycia Einsteina:

Co jakiś czas podnosiłem wzrok znad książki i spoglądałem na skrzącą się tafłę morza: miałem wrażenie, jakbym patrzył na samo zakrzywienie czasoprzestrzeni, które

Atmosferyczny silnik parowy Thomasa Newcomena – będący zwiastunem antropocenu – został zainstalowany do wypompowania wody w kopalni węgla w 1712 roku.

wyobrazil sobie Einstein. Miałem wrażenie doświadczenia magii, jakby jakiś przyjaciel szeptał mi do ucha o niezwyklej, głęboko ukrytej prawdzie i jakby od jego słów unosiła się nagle zasłona rzeczywistości, odkrywając przede mną prostszy, a jednocześnie znacznie głębszy porządek rzeczy. Od odkrycia, że Ziemia jest okrągła i obraca się jak szalony bączek, zrozumieliśmy, że rzeczywistość wcale nie jest taka, jak się nam wydaje: za każdym razem, gdy mignie nam przed oczyma jej kolejny aspekt, odbieramy to jako wyjątkowo emocjonalne przeżycie. Kolejna zasłona opada.

Ciemna strona nauki

„Zdumienie, nie zaś oczekiwanie jakichkolwiek korzyści z będących jego następstwem odkryć, stanowi nadrzędną zasadę skłaniającą rodzaj ludzki ku studiowaniu Filozofii – nauki, która dąży do odsłonięcia ukrytych związków łączących rozmaite przejawy natury. Ludzkość zgłębia ją dla niej samej, widząc w niej pierwotną przyjemność lub dobro samo w sobie i nie zważając na narzędzia, jakich może dostarczyć na polu osiągnięcia innych przyjemności” (Adam Smith).

W naszej kulturze nauka i technologia są ściśle kojarzone z ideą postępu. W przeważającej większości przypadków wielkie odkrycia i przełomy spotykają się z entuzjastyczną reakcją, ponieważ fascynują, wzbudzają ekscytację albo po prostu poszerzają zakres możliwości człowieka, jednocześnie łagodząc ludzką niedolę. Teoretycznie nauka jest obiektywna i bezstronna, jednak niesie ze sobą pewne niebezpieczeństwo, gdyż wiedza, zwłaszcza nowo zdobyta, daje władzę i stwarza okazję do jej nadużywania. Zapowiedź tego czarnego scenariusza możemy znaleźć już w mitologii greckiej: jedną z córek Taumasa, boga cudów morskich, jest Iris, piękna bogini tęczy, ale pozostałe potomstwo to harpie, okrutne demony zwiastujące chaos i śmierć.

Dla Europejczyków z początków nowożytności odkrycie Ameryki, które między innymi stało się impulsem do wybuchu rewolucji naukowej, było wydarzeniem absolutnie zdumiewającym, chociażby dlatego, że stanowiło namacalny dowód na istnienie całkiem nowych, nieznanych starożytnym wymiarów rzeczywistości, które czekają na swoich odkrywców. Jednakże ci co bardziej wrażliwi i rozsądni zdawali sobie sprawę z faktu, iż pokłosiem tego typu przełomów często były wielkie tragedie i katastrofy. „Niezwykle odkrycie Ameryki... jest dziś na ustach wszystkich, przyćmiewając wszelkie inne cuda” – pisał Bartolomé de Las Casas w 1542 roku, tyle tylko, że to zdanie znalazło się na wstępie książki dokumentującej ludobójstwo rdzennej ludności. Początki Stanów Zjednoczonych znaczy niejedna krwawa zagłada, lecz o skali i charakterze przemocy, której dopuszczali się kolonizatorzy, mogą nam dać pojęcie je-

dynie opisy pojedynczych przypadków i praktyk, na przykład śmiertelnych tortur, którym „dla rozrywki gawiedzi” poddawane były rdzenne Amerykanki i ich dzieci, albo radosnych zabaw na ulicach Manhattanu z wykorzystaniem osiemdziesięciu odciętych głów Indian w charakterze piłek futbolowych.

Dziś nauka i technologia poszerzają granice dobrobytu ludzkości, wykraczając daleko poza najśmielsze marzenia naszych przodków. Jednocześnie to właśnie one umożliwiły stworzenie broni, która jest w stanie zmieścić z powierzchni Ziemi miliony istnień w ciągu zaledwie kilku sekund. „Tak bardzo gloryfikowany przez nas postęp technologiczny, i w ogóle cała nasza cywilizacja – pisał Albert Einstein w połowie XX wieku – są niczym siekiera w rękę patologicznego przestępcy”. I choć w dzisiejszych czasach groźba konfliktu nuklearnego nie spędza nam snu z powiek, jak w okresie zimnej wojny, prześladują nas inne widma. Jednym z nich jest negatywny wpływ nauki i technologii na środowisko naturalne: to one umożliwiają współczesnym społeczeństwom zanieczyszczanie oraz naruszanie naturalnej równowagi ekosystemów, od których jesteśmy zależni, co w konsekwencji prowadzi do destabilizacji. Lęk wywołuje w nas również obawa, że pomimo wspaniałych perspektyw otwieranych przed nami nowe technologie doprowadzą ostatecznie do ograniczenia naszej wolności. W latach pięćdziesiątych XX wieku Aldous Huxley ostrzegał, że za sprawą farmakologii i indoktrynacji ludzie mogą w którymś momencie pokochać swoje zniewolenie. Gdyby zastąpić jego „demony” cukrem, smartfonami i masową dezinformacją, okazałoby się, że miał sporo racji, a przecież jeszcze wcale nie znamy pełnej skali wpływu, jaki wywrą na nas inteligentne systemy rozpoznające nasze emocje i przewidujące nasze pragnienia trafniej niż my sami.

Melancholia

Nawet jeśli człowiek wie, że jest zdrowy, bezpieczną egzystencję, zły nastrój może popsuć dosłownie wszystko. Jeśli o mnie chodzi, stan będący całkowitym przeciwieństwem zachwytu i zdumienia ogarnia mnie czasem, gdy myślę o niektórych dokonanych w życiu wyborach (zakładając, że rzeczywiście miałem wybór) albo kiedy oddaję

Dorosły Amerykanin spędza przed ekranem średnio siedemdziesiąt cztery godziny tygodniowo i ta liczba wciąż rośnie. Miliony bezrobotnych, nieposzukujących pracy młodych mężczyzn całymi dniami wpatruje się w ekrany telewizorów i komputerów, będąc pod wpływem narkotyków.

„Istnieje cel, ale nie ma drogi; to, co nazywamy drogą, jest wahaniami” (Franz Kafka).

Parafraza słów
Kapitana Czarnego
z bajki *Cudowne O*
Jamesa Thurbera
(przyp. tłum.).

się refleksji nad systemem politycznym i gospodarczym, który gruchocze nas w dziubę tak, że nie jesteśmy w stanie japać już nic prócz piip. W takich chwilach, jeśli się całkowicie nie pogrązę w Bagnie Rozterki, to z pewnością ląduję na jego peryferiach. Szybko się jednak otrząsam, uświadamiając sobie, że te moje zgryzoty to typowe problemy ludzi pierwszego świata i że mogło być znacznie gorzej – jak w tym dowcipie: obrzydliwe jedzenie, a do tego takie małe porcje. Zły humor w końcu mija i próbuję zrobić coś pozytywnego. „Z jednego snu wpadamy w drugi i nie ma końca tej iluzji” – pisał Ralph Waldo Emerson. „Życie to pasmo nastrojów niczym nanizanych na sznur koralu. Gdy doświadczamy kolejnych, każdy z nich okazuje się wielobarwną soczewką, nadającą światu swój własny odcień, ukazującą to tylko, co leży w jej centrum”.

Źródła przygnębienia mogą być różne. Wielu z pewnością nieraz dopadały znacznie czarniejsze myśli niż mnie, i to z zupełnie innych powodów. Niektóre z tych stanów zostały znakomicie odmalowane w literaturze. „Wyznam wam uroczyście, iż nieraz pragnąłem stać się nędznym robakiem” – mówi jeden z bohaterów Fiodora Dostojewskiego, Człowiek z Podziemia. – „[...] i w głębi duszy skrycie kąsałem się za to zębami, ćwiartowałem i szarpałem siebie tak, że gorycz przekształcała się w końcu w jakąś haniebną, obmierzlą lubość, a wreszcie w niewątpliwą, rzeczywistą rozkosz”. Jeszcze mroczniejszy obraz znajdziemy w opowiadaniu Franza Kafki *Przemiana*. Tu główny bohater, Gregor Samsa, przeistacza się w wielkiego obrzydliwego robaka, którego na poziomie metaforycznym możemy odczytać jako symbol tudzież alegorię stanu psychologicznego.

Prawdziwe życie bywa równie paskudne i bolesne co najgorsze doświadczenia opisane w książkach. Już sama świadomość, że egzystujemy w wiecznie wzburzonych wodach bezustannie zmieniającego się świata i że u kresu naszej ziemskiej wędrówki czeka śmierć, jest dość przerażająca. Resentyment oraz gniew wywołane zarówno realnymi, jak i wyimaginowanymi urazami i zniewagami mogą przejawiać się w pełnych wrogości myślach, w mowie nienawiści oraz aktach przemocy. Jednakże próby przezwyciężenia wewnętrznej pustki czy całkowitego znieczulenia – poprzez nadużywanie alkoholu i narkotyków, samookaleczenie się czy uciekanie się do innych tego typu zachowań – są również powszechną praktyką.

Resentyment, termin filozoficzny Sorena Kierkegaarda, to stan umysłu wywołany przez stłumioną nienawiść lub zazdrość, których realizacja została zablokowana. Albert Camus, odwołując się do innego filozofa, Maxa Schelera, określił go mianem „samo-zatrucia, zgubnego wewnętrznego wydzielenia niustającej bezsilności”.

We wczesnym okresie nowożytności ponury nastrój – bezsenność, drażliwość, niepokój i rozpacz – postrzegano jako symptom melancholii, która, wedle ówczesnych mieszkańców Europy, była efektem nadmiernego gromadzenia się czarnej żółci (jednego z czterech rzekomych „humorów”; do pozostałych płynów ustrojowych należały: krew, śluz i żółć). To właśnie za sprawą melancholii Hamlet, patrząc na sklepienie niebieskie, zamiast majestatycznej przestrzeni obsypanej złotymi iskrami widzi „marny, zaraźliwy zbiór wyziewów”. I to ona niczym mroczna zjawia przynika karty opasłego traktatu Roberta Burtona *The Anatomy of Melancholy* z 1621 roku. Jednakże renesansowi humaniści dostrzegali także pozytywny aspekt tej przypadłości. Zdaniem Marsilia Ficina melancholia miała bezpośredni związek z „geniuszem” i stąd kojarzono ją z potencjałem twórczym oraz mocą inicjowania zmiany. Jeśli chodzi o niniejszą książkę, właściwy kierunek pomaga wyznaczyć *Melancholia I* Albrechta Dürera.

Od chwili powstania w 1514 roku miedzioryt niemieckiego artysty niezmiennie fascynował ludzi, którzy na wiele różnych sposobów poszerzali granice domeny zdumienia lub jego mrocznej strony. William Blake nie pozbył się swojej kopii, nawet gdy bieda zmusiła go do wyprzedania niemal wszystkich posiadanych dóbr. Reprodukcyjne *Melancholia I* zdobyły także ściany gabinetów Alberta Einsteina i Sigmunda Freuda.

Według klasycznej interpretacji dwudziestowiecznego historyka sztuki Erwina Panofskiego, przedstawiona na rycinie postać uskrzydłonej anielicy to personifikacja dwóch odległych idei: Melancholii jako jednego z czterech humorów oraz Geometrii wchodzącej w skład siedmiu sztuk wyzwolonych. Symbolizuje ducha renesansowego artysty, który szanuje praktyczne umiejętności, jednocześnie tęskniąc za pięknem i abstrakcją modelu matematycznego. Który znajduje inspirację w ruchach ciał niebieskich i wiecznych ideach, jednocześnie głęboko cierpiąc z powodu kruchości ludzkiego istnienia oraz ograniczeń własnego intelektu. Powyższa analiza, czerpiąca pełnymi garściami z dorobku nauki oraz historii sztuki, wydaje się całkiem rozsądna, ale *Melancholia I* jest dziełem tak fascynującym po części również dlatego, że wymyka się jednoznaczny odczytaniom i zawsze otwarta jest na nowe interpretacje. Oto moja.

W przekładzie Józefa Paszkowskiego.

„Życie nasze to pokusa w czystej postaci. Któż bowiem jest zdolny znieść jego trudy i znoje? Gdy dobrze nam się wiedzie, budzi się w nas zuchwałość i stajemy się nie do zniesienia, gdy przychodzi nam zmagać się z przeciwnościami losu, ogarnia nas przygnębienie, niezależnie zaś od zmiennych kolei losu, zawsze towarzyszy nam głupota i marność istnienia” (Robert Burton).

Zdaniem Freuda melancholia charakteryzuje się „głębokim i bolesnym zniechęceniem, ustaniem zainteresowania światem zewnętrznym, utratą zdolności do kochania, zahamowaniem każdej sprawności i spadkiem samopoczucia wyrażającym się w formie zarzutów i pretensji kierowanych pod własnym adresem, posuwającym się aż do obłądnego oczekiwania kary”.

W powieści Alana Moore'a *Jerusalem* banda archaniołów gra w bilard o ludzkie dusze w obskurnym klubie w Northampton.

„I” w tytule *Melancholia I* może sugerować, że rycina miała być pierwszą z cyklu.

Jeśli tak, następne albo nie powstały, albo nie przetrwały do dziś. Jest też możliwość, że „I” odnosi się do imaginacji – pierwszej i najniższej z trzech składowych geniuszu, obok rozumu i najważniejszej duszy – albo do lacińskiego *ite*, formy czasownika *iść/odchodzić*. Tytuł ryciny znaczyłby wówczas mniej więcej: „Odejdź, melancholio”.

Na przykład nakreślony przez Leonarda plan rozprawy zatytułowanej *O naturze, ciężarze i ruchach wody* zakłada powstanie piętnastu osobnych tomów. Szkic zawiera mnóstwo notatek dotyczących rozmaitych zjawisk, których analiza wymaga sumiennej obserwacji, jednak ostatecznie Leonardo nie zrealizował swojego projektu, ponieważ nie zgłębiał tematu systematycznie.

Dawniej wierzono, że anioły to istoty z pogranicza światów, zawieszone pomiędzy Bogiem, któremu służą, a Człowiekiem, któremu od czasu do czasu przynoszą wiadomości (choć niektórzy wierzą w to do dziś). Krzepka anielica Dürera wygląda, jakby należała wyłącznie do świata materialnego, a jeśli nawet tak nie jest, na pewno sprawia wrażenie istoty zaangażowanej w ziemskie sprawy. Otaczający ją mrok rozświetla światło księżycy, jednak patrząc na tę scenę, wcale nie mamy poczucia, jakbyśmy zostali wciągnięci do krainy z koszmarów sennych stworzonej przez gnostycznego demiurga. Dziwaczny nietoperz dźwigający tytuł miedziorytu prezentuje się dość mizernie i raczej nie wzbudza grozy, nie mówiąc o tym, że wygląda, jakby właśnie odlatywał. Niekonwencjonalna pisownia wyrazu na niesionym przez niego transparencie nabiera sensu, jeśli odczytamy go jako anagram *Limen Caelo*, czyli brama do nieba.

Tak czy inaczej, niezależnie od tego, co tak naprawdę robi bohaterka obrazu, ważne, że się nie poddaje. Gdyby była przygnębiona, miałaby spuszczone wzrok. Tymczasem śmiało spogląda w górę. Prawdopodobnie zamyśliła się i dlatego przerwała na moment pracę nad szkicem, który kreśli za pomocą cyrkla spoczywającego na jej kolanach, by za chwilę wrócić do przerwanej czynności. Narzędzia stolarskie leżą co prawda porozrzucane wokół jej stóp, ale żadne nie jest popsute – cała sceneria przypomina warsztat człowieka pochłoniętego tworzeniem, a nie kogoś, kto właśnie przeżywa rozpad swojego wewnętrznego świata. (Jeśli zawartość notatników żyjącego w tych samych czasach co Dürer Leonarda da Vinci stanowi jakikolwiek punkt odniesienia, jego pracownia musiała wyglądać podobnie, a sam artysta był tak daleki od letargu jak aktywny wulkan). „Melancholia nie ma nic wspólnego z pragnieniem śmierci – pisał W.G. Sebald. – To forma oporu”.

Umieszczony po lewej stronie obrazu ogromny wielościan, który jednocześnie znajduje się na skraju pola widzenia zamyślonej anielicy, prawdopodobnie powstał właśnie w tym warsztacie. Parametry tego obiektu, czyli ściętego romboedru, znanego dziś jako bryła Dürera, stanowiły przedmiot ożywionej dyskusji. Być może autor *Melancholii I* próbował stworzyć nową bryłę archimedesową (wielościan półforemny składający się z dwóch lub większej liczby rodzajów wielokątów foremnych), której wszyst-



kie wierzchołki dotykałyby ścian opisanej na niej kuli. Jeśli rzeczywiście takie było zamierzenie, skrzydlata bohaterka ryciny, podobnie jak sam artysta, poległa, gdyż postawiony tu geometryczny problem nie ma matematycznego rozwiązania.

Na początku XVI wieku najwybitniejsi matematycy zajmujący się geometrią tak jak Platon uważali, że wielościany foremne składające się z wielokątów jednego rodzaju, znane również jako bryły platońskie, stanowiły elementy składowe materii. Czworościan reprezentował ogień, sześcian – ziemię, ośmiościan – powietrze, dwudziestościan – wodę, dwunastościan – eter (tajemniczą substancję, która rzekomo wypełniała przestrzeń kosmiczną). Mylili się, rzecz jasna, ale jak zauważa fizyk Frank Wilczek, ich błąd przyniósł wiele pożytku. Dzięki niemu ludzie zaczęli dopuszczać możliwość, iż u podstaw świata materii leży ograniczona liczba komponentów. Również według modelu standardowego fizyki cząsteczkowej, albo teorii podstawowej (*Core Theory*), wyróżnia się ograniczoną liczbę cząstek elementarnych (jak dotąd wyodrębniono ich siedemnaście), których rozmaite kombinacje tworzą *wszystko, co nas otacza*. Czy wobec tego anielicę z Dürerowskiego sztychu można traktować jako pionierkę współczesnej fizyki, która podejmuje próbę zrozumienia podstawowych elementów będących budulcem świata, tym samym otwierając drzwi naukowcom, którzy chcieliby manipulować najgłębszymi poziomami rzeczywistości?

Melancholia I zawiera także wiele innych ciekawych elementów: mamy tu cherubina, psa, klepsydrę, wagę, dzwon i pęk kluczy przytroczony do pasa anielicy. Godne uwagi są również symbole alchemiczne: tygiel stojący na lewo za wielościanem, tuż przy samej krawędzi obrazu, oraz drabina z siedmioma szczeblami – które wedle tradycji alchemicznej symbolizują siedem metali i siedem planet – prowadząca do niewidocznej wieży lub też punktu obserwacyjnego znajdującego się gdzieś ponad ramą. No i jest jeszcze zbiór liczb w górnym prawym rogu, nad głową skrzydlatej kobiety. Tworzą magiczny kwadrat, w którym sumy liczb w każdej kolumnie i w każdym wierszu są takie same (w tym przypadku równe trzydzieści cztery). Dodatkowo tę sumę można uzyskać, jeśli dodamy do siebie liczby w każdej ćwiartce oraz w czterech środkowych polach kwadratu. Ale na tym nie koniec, bowiem dwie liczby pośrodku dolnego wiersza tworzą datę powstania obrazu

Zgodnie z założeniami współczesnej fizyki cząstki elementarne dzielą się na dwie grupy: o liczbie spinowej $\frac{1}{2}$ (tzw. fermiony o spinie połówkowym), które tworzą materię, oraz o liczbie spinowej z zakresu 0, 1 i 2 (tzw. bozony o spinie całkowitym) przenoszące oddziaływanie. Podczas gdy dwa fermiony nigdy nie mogą znaleźć się w tym samym miejscu jednocześnie, w przypadku bozonów nie istnieją w tym względzie żadne ograniczenia.

(1514), natomiast jeden i cztery w dwóch dolnych narożnikach odpowiadają literom A i D, którymi Albrecht Dürer zawsze podpisywał swoje rysunki i ryciny.

Jak to wszystko należy rozumieć? Być może Dürer próbował zmierzyć się z koncepcją (po raz pierwszy sformułowaną – przynajmniej z tego, co nam wiadomo – przez Pitagorasa) mówiącą o tym, że wszystko jest liczbą. Możliwe też, że chciał, by jego dzieło stanowiło pewien rodzaj łamigłówki, która zaangażuje intelektualnie odbiorcę, a co za tym idzie, otworzy jego umysł. Artysta, zwracając naszą uwagę na symboliczną, niemal obsesyjnie szczegółową rzeczywistość anielskiej pracowni, pozwala nam wyjść w naszym widzeniu i myśleniu poza granice przedstawionego świata (nazwisko Dürer można tłumaczyć jako rzemieślnik wytwarzający drzwi). Na przestrzeni wieków, od Paracelsusa po Junga, alchemię kojarzono z rozwojem tego, co indywidualne, ja jednak wolę traktować tę symboliczną drabinę jako intuicyjną zapowiedź metody naukowej, umożliwiającej uzyskanie szerszej perspektywy na drodze stopniowego postępu. Magiczny kwadrat chciałbym zaś interpretować jako odzwierciedlenie odwiecznej łamigłówki, którą jest otaczająca nas rzeczywistość, bo (jak to ujął dwudziestowieczny fizyk Eugene Wigner) matematyka ma w sobie pewną „pozbawioną racjonalnych podstaw skuteczność”. Przejawia się tym, że powstałe w jej obrębie koncepcje często znajdują zastosowanie w sytuacjach daleko wykraczających poza kontekst, w którym zostały pierwotnie sformułowane. Bo dlaczego na przykład liczba π , czyli stosunek obwodu koła do długości jego średnicy, pojawia się w statystycznej analizie tendencji populacyjnych, nie mówiąc o definicji stałej struktury subtelnej, równaniu Einsteina czy też definicji długości Plancka, tj. najmniejszej długości mającej sens fizyczny? Można odnieść wrażenie, jakkolwiek niesamowite by się to wydawało, że istnieje jakiś kod wszechświata, który krok po kroku da się odszyfrować. I choć nie bardzo wiemy, co właściwie wprawia w ruch te wszystkie równania, wciąż egzystujemy w opisywanym przez nie świecie.

Melancholia I kryje w sobie także inne treści. Kula leżąca u stóp anielicy ma idealnie symetryczny kształt, tak bardzo ukochany przez starożytnych Greków, jednakże w 1514 roku zaczęła nabierać nowego znaczenia. Nieco ponad dwadzieścia lat wcześniej odbyła się pierwsza podróż Kolumba do Ameryki, która nie tylko potwierdziła kulisty

Albert Einstein wcale nie przejawiał wybitnych zdolności matematycznych, lecz, podobnie jak Galileusz, uznawał potęgę matematyki wynikającą z możliwości objaśniania nią świata. Wciąż jednak pozostawało zagadką, dlaczego tak się dzieje. „Najbardziej niezrozumiałą rzeczą dotyczącą świata – pisał Einstein – jest to, że jest on zrozumiały”. Z kolei fizyk James Hartle ma na to bardzo prostą odpowiedź: „Świat musi być zrozumiały, by systemy gromadzenia i wykorzystywania informacji, w tym istoty ludzkie, w ogóle mogły istnieć”.

„Nie istnieje chyba bardziej wzniosłe pytanie niż o to, dlaczego istnieje wszechświat” (Derek Parfit).

W 1515 roku Dürer z pomocą dwóch profesjonalnych astronomów stworzył pierwszą drukowaną mapę gwieździstego nieba, przedstawiającą dwie półkule. Co ciekawe, w przypadku półkuli południowej artysta zostawił puste pola – całkowicie sporych rozmiarów z myślą o... przyszłych odkryciach.

kształt Ziemi, lecz także uświadomiła ludziom, że mają do odkrycia znacznie więcej, niż kiedykolwiek śniło się starożytnym. Erdapfel, globus z 1492 roku skonstruowany przez Martina Behaima w Norymberdze, rodzinnym mieście Dürera, przedstawia szczegółowo wszystkie obszary lądowe oprócz Ameryk: szlak morski wiodący z Lizbony na zachód prowadzi w prostej linii do Chin i Japonii. W przeciwieństwie do globusa Behaima planisfera Salviatiego z około 1525 roku zawiera wstępną wersję odwzorowania fragmentów wybrzeża nowo odkrytej Ameryki, jednak jej autor również, z dużą dozą pewnej siebie ignorancji, potraktował ogromne, niezbadane połacie planety jako białe plamy. Warto pamiętać, że *Melancholia I* powstała niedługo po tym, jak Kopernik w swoim *Małym komentarzu* z 1510 roku odebrał Ziemi centralne miejsce we wszechświecie. Istnieje więc spore prawdopodobieństwo, iż do Dürera, jednego z lepiej wykształconych artystów swojej epoki, i do tego zapalonego astronoma amatora, dotarły wieści o sensacyjnych tezach zawartych w tej rozprawie.

Wróćmy jednak do pozostałych elementów kompozycji. W górnej partii ryciny, po lewej stronie widać niewielki fragment krajobrazu, noszącego w języku niemieckim nazwę *Weltlandschaft* (czy bardziej precyzyjnie, *Seelandschaft*) – wielki świat istniejący poza granicami pracowni. Wspaniałe miasto wznosi się na brzegu ogromnego jeziora albo spokojnego morza, którego wody rozlewają się aż po daleki, nieznany horyzont, przywodząc na myśl młodszy o kilka stuleci obraz *Lagunenstadt* pędzla Paula Klee. Nad nieruchomą taflą wznosi się księżycowa tęcza – niezwykle rzadkie nocne zjawisko będące odpowiednikiem zwykłej tęczy. W wyjątkowych warunkach najbardziej baczne oko jest w stanie dostrzec w jej rzekomo białym świetle ślad widma optycznego (zazwyczaj do zobaczenia go potrzebny jest aparat fotograficzny, dużo czulszy niż ludzki narząd wzroku). Tak czy inaczej, ci, którzy patrząc na księżycową tęczę, widzą kolory, odbierają światło w zupełnie nowy, niezwykle rzadki sposób: światło słoneczne musi się odbić od Księżyca, zanim załamie się i odbije w kropelkach wody, by wytworzyć zjawisko optyczne na granicy widzialności, co samo w sobie nosi znamiona prawdziwego cudu. Na Dürerowskim niebie widać również kometę przypominającą tę z wielkiej kroniki opublikowanej w Norymberdze w 1493 roku. Dla artysty jej znaczenie pozostawało raczej niejasne – traktował ją bardziej jako zagadkę niż zwiastun nad-

chodzącego zła. Zresztą kometa, która pojawiła się na niebie za życia Dürera, wbrew powszechnym obawom wcale nie przyniosła katastrofy. Może więc należało bać się nieco mniej, za to kwestionować nieco więcej – uświadomić sobie własną niewiedzę i mniej ufać ówczesnym autorytetom.

Dla mnie więc *Melancholia I* to zaproszenie do zdumienia otaczającą nas rzeczywistością i zachwytu nad nią. Bohaterka ryciny jest zatopiona w myślach, ale szeroki, wciąż niezbadany świat wzywa, oferując tak wiele do odkrycia. („Cała materia faluje od nieskończonych możliwości” – pisał dwudziestowieczny prozaik Bruno Schulz na kilka lat przed okrutną śmiercią poniesioną z rąk nazistów). Za pomocą cyrkla spoczywającego właśnie na jej kolanach kreśli mapę, która może odsłonić związki pomiędzy otaczającymi ją tajemnicami a wielkim światem leżącym poza granicami pracowni. I sam artysta zdaje się zachęcać nas do tego, byśmy także podjęli podobną próbę.

Zaproszenie do zachwytu

Niniejsza książka stanowi próbę wzbudzenia w czytelniku ciekawości, zdumienia światem i zachwytu nad nim, a zarazem podzielenia się z nim tymi doświadczeniami. Zabierając się do pisania, stanąłem jednak przed zasadniczym dylematem: na jakiej zasadzie wybrać i uporządkować cuda będące przedmiotem zawartych w niej rozważań? Za model mogłyby posłużyć wybrane pozycje spośród zachwycających dzieł o charakterze kompendiów wiedzy, powstałych w czasach złotego wieku islamu. Na przykład *Book of Curiosities of the Sciences and Marvels for the Eyes* [Księga osobliwości i cudów nauki], która zawiera niesamowitą serię schematów nieba oraz map Ziemi, przekazuje esencję wiedzy zdobytej przez astronomów, historyków, uczonych i podróżników na przestrzeni dwustu lat, między IX a XI wiekiem naszej ery. W owym czasie powstały także inne, równie wspaniałe, choć może nieco mniej godne zaufania teksty, jak choćby opublikowana w 1314 roku *The Ultimate Ambition in the Arts of Erudition* [Ambitna księga erudycji], której autor poświęca sporo miejsca szalenie istotnym obserwacjom – dowiemy się na przykład, że jeśli człowiek odda mocz na ucho nosorożca, zwierzę czym prędzej ucieknie. Z kolei europejskie dzieła spod znaku *Augsburg Book of Miraculous Signs*, czyli augsburskiej księgi cudów pocho-

Hume dowodził, między innymi, że prawa natury są niezienne, a ludzkiemu świadectwu nie można ufać.

Cardano, wybitny uczony, często był bez grosza. Awantury związane z jego długami hazardowymi ponoć czasem kończyły się walką na noże. Jego *Liber de ludo aleae* [Księga o grach losowych] z 1564 roku to pierwsze systematyczne podejście do prawdopodobieństwa w matematyce europejskiej. Podobno obstawił datę swojej śmierci; zagwarantował sobie wygraną, popelniając w wyznaczonym dniu samobójstwo.

Na początku lat osiemdziesiątych XX wieku Thomas sporządził własną listę siedmiu cudów, zostawiając największy na sam koniec:

- 1) bakterie żyjące w kominach termalnych na dnie oceanów;
- 2) *oncideres* – rodzaj chrząszcza żyjącego na krzewach mimozy;
- 3) wirus wywołujący kolowaciznę;
- 4) komórki receptorów węchowych;
- 5) termity;
- 6) ludzkie dziecko;
- 7) świat rozumiany jako żywy organizm.

dzącej z około 1550 roku, zawierają przepiękne ilustracje dziwnych zjawisk meteorologicznych oraz innych osobliwości uznawanych za zwiastuny apokalipsy. Tego typu pozycje można wziąć za wzór pod warunkiem, że dysponuje się albo mnóstwem czasu liczonego w dziesiątkach lat, albo całym zespołem iluminatorów, albo – ignorując argumenty przeciwko cudom sformułowane przez Davida Hume’a – jest się w pełni oddanym zwolennikiem myślenia magicznego. W przypadku niespełnienia powyższych warunków należy zadowolić się prostszym schematem działania.

W tej sytuacji za potencjalny paradygmat może posłużyć dzieło włoskiego matematyka i hazardzisty, Girolama Cardana, zatytułowane *De rerum varietate* [Różnorodność rzeczy] z 1557 roku. Autor opisuje w nim cuda według miejsc ich występowania („cuda ziemskie”, „cuda wodne” itd.) oraz określonego przez siebie stopnia ich „cudowności”. I tak w kategorii prawdziwych cudów znalazły się „niebieskie chmury” zaobserwowane nad Cieśniną Magellana, podczas gdy meksykańscy akrobaci żonglujący stopami zostali sklasyfikowani jako „godni podziwu, aczkolwiek niezаслужujący na miano prawdziwego cudu”.

Ja również zdecydowałem się na coś podobnego, wprowadzając dwie organizujące zasady. Po pierwsze, wykorzystałem dobrze znaną koncepcję siedmiu cudów. I choć takie podejście może wydawać się mało oryginalne, ma tę zaletę, że pomaga ująć temat w dogodne, ściśle określone ramy. Za wykorzystaniem takiego schematu przemawia również to, iż został zastosowany z powodzeniem co najmniej raz, w krótkim eseju autorstwa fizyka Lewisa Thomasa. Po drugie, ułożyłem i powiązałem siedem wybranych przeze mnie cudów, kierując się zasadą emergencji – procesu powstawania jakościowo nowych form i zachowań w wyniku interakcji pomiędzy prostszymi elementami. W niniejszej książce przedstawia się to następująco: względnie nieskomplikowane zjawisko w pierwszym rozdziale ma udział w wykształceniu się zjawiska będącego przedmiotem drugiego rozdziału i tak dalej.

Gdybym mógł, odbyłbym wielką, daleką podróż, by stworzyć mapę cudów, podobnie jak profesor Mabouloff z Instytutu Nieskładnej Geografii, bohater filmu *Podróż do krainy niemożliwości* w reżyserii Georges’a Mélièsa z 1904 roku. Sęk w tym, że budżet rzadko kiedy pozwalał mi wyjść się dalej niż poza granice mojej szopy, a najdłuższą odbytą eskapadą była trwająca tydzień wyprawa do innej

szopy. Dlatego moja eksploracja cudów ograniczała się do pobliskiej okolicy – szukałem w bibliotece, w laboratorium, od czasu do czasu spacerowałem po lesie czy też nad brzegiem morza. Krótko mówiąc, badałem swoje najbliższe otoczenie, a nie odległe miejsca, o których mogłem tylko pomarzyć. Jednak przemierzając nieznanne mi dotąd okoliczne zakątki, czasami dostrzegałem – by posłużyć się słowami poety metafizycznego Thomasa Traherne’a – „rzeczy dziwne, lecz zwyczajne zarazem; niewiarygodne, lecz znane; wzniosłe, lecz pospolite; nieskończenie pozytywne, lecz niepoważane”. Bo nawet najbardziej błahy epizod, choćby taki w mojej kuchni, nosi w sobie ślad najwspanialszego z cudów. Podążając tym tropem, można powiedzieć, że wystarczyła mała myśl, by wypełnić nią całą tę książkę.

A oto jak przedstawia się jej kompozycja. Rozdział pierwszy dotyczy światła – jednego z podstawowych zjawisk we wszechświecie, z którego bierze początek tak wiele innych rzeczy. Opisuję w nim, czym jest światło i w jaki sposób widzimy, zgłębiając ten temat na przykładzie tęczy, słońca oraz różnych rodzajów ciemności. W rozdziale drugim skupiam się na początkach samego życia, a także świata materialnego, z którego się ono wyłoniło, poświęcając również chwilę uwagi zaledwie garstce spośród wszystkich rzeczy i zjawisk, które czynią je tak zdumiewającym. Rozdział trzeci dotyczy ludzkiego serca, którego bicie bezustannie przypomina nam, jak krótka jest nasza fizyczna egzystencja, a jednocześnie jak niezwykle wytrzymała i odporna istotą jest człowiek. Rozdział czwarty poświęcam mózgowi i przedstawiam w nim siedem prostych obserwacji na temat prawdopodobnie najbardziej złożonego obiektu w całym wszechświecie. Rozdział piąty traktuje o trajektorii ludzkiego życia – procesu możliwego dzięki nieprzerwanemu funkcjonowaniu, między innymi, serca i mózgu. Korzystając z podziału życia starożytnych, na trzy etapy: młodość, dojrzałość i starość, nie na siedem wedle tradycji średniowiecznej i wczesnonowożytnej, analizuję, jak doświadczamy zdumienia i zachwytu na przestrzeni całej naszej doczesnej egzystencji i w jaki sposób się to zmienia. Rozdział szósty to opowieść o samym zdumieniu otaczającym nas światem – o tym, w jaki sposób ten świat kształtuje nas, a także w jaki sposób my nadajemy mu kształt poprzez mapy i marzenia. W rozdziale siódmym przyglądam się technologiom, które przekształcają świat i jednocześnie

Słowa Ludwiga Wittgensteina „Wystarczy mała myśl, aby wypełnić nią całe życie” same w sobie wystarczyły, żeby wypełnić niezwykłą kompozycję muzyczną Steve’a Reicha pt. *Proverb*.

„Dwie rzeczy napelniają umysł coraz to nowym i wzmagającym się podziwem i czcią [...]: niebo gwiaździste nade mną i prawo moralne we mnie. [...] Pierwszy widok nieskończonej mnogości światów niejako unicestwia moją ważność jako zwierzęcego stworzenia, które musi z powrotem zwrócić materię, z której się poczęło, planecie [będącej] jedynie punktem we wszechświecie, gdy skończy się krótki czas, przez który było [...] obdarzone siłą życiową. Drugi natomiast podnosi moją wartość, jako inteligencji [...]”.

Weźmy na przykład „kapitalizm wojenny” omawiany przez historyka Svena Beckerta: „Jeśli nasza rzekomo nowa era globalna jest rzeczywiście rewolucyjnym zerwaniem z przeszłością, to owa rewolucja nie zawiera się w głębi globalnych powiązań, tylko w fakcie, że kapitaliści po raz pierwszy są w stanie wyemancypować się spod wpływu poszczególnych państw narodowych”.

„Zawsze będziemy tkwić na początku nieskończoności, tak jak w naszej nieskończonej ignorancji” (David Deutsch).

wpływają na zmianę sposobu doświadczania go, tym samym zmieniając postrzeganie tego, co uznajemy za niezwykłe i godne zachwytu. Dzielę się w nim także refleksją na temat przyszłości cudu w coraz bardziej wypaczonym i wyniszczonym przez człowieka świecie, zastanawiając się, co w tej materii przyniesie jutro. W posłowniu zawieram garść dodatkowych przemyśleń na tematy poruszone w książce.

Karty *Nowej mapy cudów* wypełniają odkrycia naukowe, choć wcale nie uważam, że nauka ma odpowiedź na wszystko. Bo nie ma. Parafrazując słynny fragment *Krytyki praktycznego rozumu* Immanuela Kanta z 1788 roku, dwie rzeczy napelniają mnie zdumieniem i lękiem: świat przyrody leżący u podstaw naszego istnienia oraz to, co ludzie robią mu i sobie nawzajem. Jest wiele istotnych kwestii, wobec których nauka wciąż pozostaje bezradna, włączając w to pytania o to, co powinniśmy cenić najbardziej i dlaczego. Jeśli chodzi o nowe technologie (będące zarówno efektem, jak i źródłem przełomów naukowych), nie powinniśmy lekceważyć sygnałów ostrzegających przed ich zgubnym wpływem na kondycję ludzkości. Jednakże problem tkwi zazwyczaj nie w samej naturze nowych technologii, ale w sposobie ich wykorzystania. Nauka i technika, o ile korzystamy z nich roztropnie, mogą pomóc wyeliminować wiele błędów i niedociągnięć, znacznie przesuwać granice naszych możliwości, w tym także możliwości doświadczania przez nas coraz to nowszych cudów.

Ale na tym nie koniec. Wiedza ma charakter tymczasowy, otwarty i niekompletny, i to się raczej nie zmieni. Na przykład liczba twierdzeń dowodliwych w dziedzinie matematyki jest nieskończona. „[...] tym, co obserwujemy – pisał Werner Heisenberg – nie jest przyroda sama w sobie; lecz przyroda, jaka nam się jawi, gdy zadajemy jej pytania we właściwy nam sposób”. A Thoreau, jak zwykle, trafił w samo sedno. Według amerykańskiego myśliciela „wyższa wiedza nie jest niczym więcej niż wielkim zadziwiającym odkryciem niewystarczalności tego, co nazywaliśmy wcześniej Wiedzą”. Toteż „najwięcej, ile możemy osiągnąć, to nie Wiedza, ale Współodczuwanie Mądrości”. W moim rozumieniu oznacza to, że największy zachwyt przychodzi wraz z miłością i mądrością pozwalającymi nam dostrzec i docenić to, co mamy przed oczyma. Bo, jak stwierdził poeta William Merwin: „Nie chodzi o zrozumienie. Chodzi o nasze życie, o nasze jedno jedyne życie”.

Książka, którą trzymacie w dłoniach, nie jest mapą w sensie dosłownym, choć zawiera kilka map. Nie stanowi również, nawet w przybliżeniu, wyczerpującego katalogu cudów. Kiedy ją pisałem, przyświecał mi bardzo prosty cel: opowiedzieć o kilku cudach najlepiej, jak potrafię – odnaleźć je w otaczającej mnie rzeczywistości, uświadomić sobie ich skalę i docenić wagę. Mam nadzieję, że spoglądając we wskazywanym przeze mnie kierunku, sami dostrzeżecie ich jeszcze więcej.

Zdumienia doświadczamy w chwili, gdy funkcjonujemy na pełnych obrotach, zarówno intelektualnie, jak i emocjonalnie. Może doprowadzić nas na skraj przerażenia, lecz równie dobrze może otworzyć nam oczy na to, co osobliwe i nieprzewidywalne, wcale nie wzbudzając w nas lęku. Niczym mityczna, arystotelesowska lekkość – będąca według filozofa przeciwieństwem ciężkości – może wprawić nas w doskonały nastrój. Jak dobry dowcip, może wyczerpać temat... nazbyt zwięźle. Zdumienie otwiera przed nami nowe możliwości – to taki psychologiczny odpowiednik obcęgów, które Werner Herzog radził reżyserom zawsze mieć przy sobie. Dzięki niemu możemy poczuć, że na moment staliśmy się częścią czegoś większego i lepszego od nas samych. Że właśnie dokonaliśmy odkrycia albo przynajmniej postawiliśmy pierwszy krok na wiodącej ku niemu drodze. Że coś odzyskujemy, doświadczamy swego rodzaju powrotu – coś wraca na miejsce i wreszcie jest tak, jak być powinno. Zdumienie może w zupełności nam wystarczyć, ale może też stanowić idealny punkt wyjścia do dalszych poszukiwań. To stan umysłu, który pozwala przyjąć dar i uświadomić sobie jego wagę, nawet jeśli niekoniecznie jesteśmy w stanie pojąć jego znaczenie. To swoisty stan łaski.

Annie Dillard w *The Writing Life*, zbiorze krótkich esejów dotyczących życia pisarza, również cytuje Thoreau: „Młodziemiec zbiera materiały, by zbudować most na księżyc, być może jakiś pałac czy świątynię na Ziemi, zaś osiągnąwszy wiek średni, ostatecznie wznosi z nich drewnianą szopę”.

Żyjemy w świecie, o którym wiemy niemal wszystko.

Czy ta wiedza nie zniszczyła w nas umiejętności zachwycania się?

CO DZIŚ MOŻE NAS JESZCZE URZEC? CO JEST CUDEM?



Nagle ujrzenie tęczy, porywający fragment muzyki,
pierwsze uderzenia serca dziecka – cudów doświadczamy codziennie.

Z ciekawością i entuzjazmem wielkiego odkrywcy
Caspar Henderson wyjaśnia fenomen światła i pochodzenie wszechświata,
zjawiskowość mechaniki ludzkiego ciała i olśniewające dziwy przyrody
– i opisuje czekające nas cuda: technologie, które zmieniają
nasz świat i nas samych.

Nowa mapa cudów pełnymi garściami czerpie z filozofii
i historii naturalnej, sztuki i religii, neuronauki i nanotechnologii.
Ten mądry, inspirujący i pięknie zilustrowany przewodnik zachęca
do spojrzenia na świat na nowo.



NAPISANA Z DOWCIPEM KONTYNUACJA
KSIĘGI ZWIERZĄT NIEMALŻE NIEMOŻLIWYCH



Cóż za ekscytujące, podnoszące na duchu antidotum na te ponure
i mroczne czasy! Przypomnienie o wszystkich cudach świata jest
fenomenalnym darem, tym bardziej, że jest tak wysmakowane.

A jeśli ktoś nie doceni tego magicznego kompendium,
to znaczy, że najbardziej go potrzebuje.

PHILIP BALL, fizyk, autor *Masy krytycznej*

MARGINESY.COM.PL



9 788366 335394

CENA 44,90 ZŁ

w sprzedaży także

